

Teksty Drugie 1994, 4, s. 37-42



# **„Być sobie jednym” – i być autorytetem**

Wojciech Głowala

Wojciech Głowala

**„Być sobie jednym” –  
i być autorytetem**

W spisie lektur wrocławskiej polonistyki – 236 stron – nazwisko Janusza Sławińskiego pojawia się ponad 15 razy. Trudno przynajmniej w takim samym stopniu precyzyjnie określić jego obecność w nie zebranych tak tekstach literaturoznawczych począwszy od lat 60. – można wszakże przyjąć, że była ona wielka. Do tych konstatacji trzeba dodać jeszcze jedną, ogólniejszą: otóż w swoich rozważaniach o autorytecie Józef Bocheński wypowiada zdanie o istotnym funkcjonowaniu tej figury w dzisiejszej kulturze: „Większość zadań, które uznajemy za prawdziwe, jest w obecnym okresie oparta na autorytecie epistemicznym”<sup>1</sup>. Konstatacje te mają usprawiedliwić zainteresowanie dla funkcjonowania figury autorytetu w tekstach Sławińskiego. Usprawiedliwić, bo będzie o rzeczy małej

---

<sup>1</sup> J. M. Bocheński *Co to jest autorytet* [1974], w: *Logika i filozofia. Wybór pism*, Warszawa 1993, s. 251. Autor wyróżnia „autorytet epistemiczny” (poznawczy, który wypowiada zdania) oraz „autorytet deontyczny” (nakazowy, który wypowiada dyrektywy). Zwróćmy od siebie uwagę, że w wypowiedziach humanistyki te dwa typy autorytetów są bezustannie mylone ze sobą, i to na ogół z pożytkiem dla humanistyki, tzn. zgodnie z jej przyrodzoną wielofunkcyjnością. – W związku z osądem „obecnego okresu” warto wspomnieć, że już kilkaset lat temu napisano tak: „Niemał wszystkie nasze mniemania czerpane są z jakowejś powagi i na wiarę. Nic w tym złego.” [M. Montaigne *Próby*, ks. 3, rozdz. 12].

(czy mniejszej tylko), ale przecież jednocześnie takiej, że można ją podejrzewać o konszachty z większymi.

Sam autorytet raczej rzadko pojawia się w „stanie badań”, ponieważ ten jest konstruowany zwykle jako negatywne tło dla własnych badań. W tym miejscu Sławiński — jeśli w ogóle można mówić o spełnianiu przez niego tego obyczaju — bodaj najczęściej depersonalizuje ten zakątek swoich tekstów. Jest to u niego co najwyżej wysokie przekształcenie rozdrobnionej zdarzeniowości „stanu badań” w strukturę (tak dzieje się np. w szkicu *Krytyka literacka jako przedmiot badań historycznoliterackich*).

Najwięcej u niego — a zobaczymy potem, czy „najwięcej”, znaczy „o największej wadze” — jest oczywiście przywołań do świadczenia — osób, czyli po prostu autorów innych tekstów z odpowiedniej dziedziny. W tym zaś kręgu sporo miejsca zajmują sytuacje, w których przywołanie następuje przez wmontowanie słów cudzych we własny tekst główny, najczęściej z bibliograficznym dodatkiem przypisowym, czasem jeszcze skomentowanym. Dzieje się tu tak samo, jak w setkach innych tekstów humanistów: od bezprzypisowego i nawiasowego „wiemy to od Gundolfa” (P, s. 158)<sup>2</sup> po dwustronicową prezentację tekstu Barthesa. Ta — zdawałoby się — pozytywność rozmiaru obecności źle się dla francuskiego semiologa kończy, ponieważ zaczyna się ona prawie wyraźnie w sytuacji autorytetu, zamyka zaś tak:

Nie dlatego trudzę się nad parafrazą wywodów Barthesa, bym uważał je za uderzająco trafne. Przeciwnie: wszystkie trzy przywołane tezy dotyczące roli opisu w tekście narracyjnym wydają mi się wątpliwe [P, s. 193].

Można powiedzieć, że Sławiński jakby zniccierpliwił się monologiem Barthesa w swoim własnym monologu. Z reguły chyba dłuższy pobyt obcego mówienia w domniemanej funkcji autorytetu nie kończy się dla niego pod niekwestionowaną aurcolą: nawet tam, gdzie Sławiński nie ma w ogóle intencji polemicznych, zasługi obcego bywają jakby ograniczane. Tak jest np. z autorem francuskiego szkicu o opisie, „jedynej w gruncie rzeczy zasługującej na uwagę w ostatnich latach próby opisanie opisu” (P, s. 200). Otóż w zdaniu uzupełniającym bib-

---

<sup>2</sup> Cytacje ze Sławińskiego oznaczam skrótami: D = *Dzielo, język, tradycja*, Warszawa 1974. — T = *Teksty i teksty*, Warszawa 1990. — P = *Próby teoretycznoliterackie*, Warszawa 1992. Cyfra po cytacie oznacza stronicę.

liograficzny opis próby Hamona znajdujemy jeszcze dodatkowo określenie laudacyjne („prawdziwie inspirujące studium”) oraz – i to jest właśnie najciekawsze – określenie wielkości zadłużenia: „Moje rozważania s p o r o zawdzięczają temu (...) studium” [podkreśl. W. G.]. Widać jasno pewien rozróżnienie między oszczędnym „sporo” i określeniami laudacyjnymi. Dobrze okazuje się dobre jakby tylko do chwili pojawienia się ewentualnych zobowiązań do zupełnej identyfikacji (a ta jest założona przy posługiwaniu się autorytetem!).

Casus Hamona w praktykach Sławińskiego wydaje się przypadkiem skrajnym (Barthesa zresztą też) – wszystkie inne przypadki oddalają się od nich tak w części laudacyjnej, jak i w części dotyczącej opisu rozmiaru zadłużenia. Najczęściej bowiem mamy tu do czynienia z konstruowaniem n e u t r a l n o ś c i przywołania, obok której pojawia się zaraz tylko c z ą s t k o w e funkcjonowanie autorytetu. Np.: „Żeby użyć określenia Thibaudeta” (D, s. 176), „powiemy za Kazimierzem Wyką” (D, s. 180) – to jeden typ takich konstrukcji; drugi zaś to wmontowana (i pochłonięta) bez komentarza w zdanie Sławińskiego część cudzego mówienia. Sławiński jest tu właścicielem kontekstu i techniki montażu: „przedmiot jest tu «wytwarzany w czasie przebiegu wykonawczego»” (D, s. 195), i dalej – czysto bibliograficzny adres książki Troczyńskiego, z której pochodzi zawartość cudzysłowu. Trzeci typ wreszcie to dość tajemniczy przypadek, tajemniczy ze względu na wieloznaczną zachętę zawartą w skrótce „por.”. Wychodzi on od nienacechowanego żadną obcością zdania Sławińskiego i w podziemiu przypisu realizuje się tak np.: „Por. na ten temat uwagi Z. Łempickiego w szkicu *O krytyce literackiej*, „Przegląd Warszawski” 1924, R. 4, nry 34–35” (D, s. 194). Patrząc na precyzję tego zapisu bibliograficznego, trzeba przecież zauważyć, że w normalnej lekturze z owego „por.” nikt w zasadzie nie korzysta...

W tych trzech typach przywoływanym autorom musi wystarczyć sam fakt przywołania i uczestnictwo w p a r t y k u l a r n y m zdarzeniu tekstu Sławińskiego. I przywołanie, i uczestnictwo są opisane dość ascetycznie – żeby nie stwarzać możliwości zbyt szerokiej identyfikacji? Właśnie ta asceza powoduje, że określenia w typie wypowiedzianych pod adresem Hamona są raczej rzadkie. W jednym wypadku Sławiński przywołanego nazywa po prostu „rzeczoznawcą” (T, s. 195, ale też tekst ten ma charakter paszkwilancki). Można się wobec tego chwilami wahać, czy w ogóle jest sens w takich wypadkach mówić

o autorytecie. Wahanie może się brać i z odczucia kontrastu, jakiego doznajemy zestawiając teksty Sławińskiego na tym poziomie z powszechnym w humanistyce obyczajem wprowadzania autorytetów w stylistyce miłosnego wyznania oraz w przydawaniu im cechy totalności. Nie mówię już o zezwalaniu przez inny obyczaj na jawne funkcjonowanie autorytetów deontycznych, które u naszego autora są trudne do ujawnienia.

Niewiele obfitsze zyski obiecuje i wyławianie u Sławińskiego autorytetów nicosobowych (spośród tych, jakie wskazywał Ziomek). Jest ich bodaj jeszcze mniej. Czyli, można powiedzieć, że statystycznie jest to w ogóle zdarzenie względnie rzadkie, uszczuplane w dodatku wskazaną ascetycznością. Spróbuję więc teraz paru domysłów dociekających przyczyn tej prawie negacji powszechnie stosowanej figury. Bocheński twierdzi, że w przeciwieństwie do tolerancyjnej rzeczywistości deontycznej nie istnieje tolerancja epistemiczna. Nie istnieje, tzn. jest niemożliwa ze wszystkich punktów widzenia. Radykalizacja postrzegania tej cechy poznania może być pierwszym źródłem postawy Sławińskiego. Nie darmo — choć pewnie i ironicznie — badacz ten nazywa siebie „doktrynerem” i zapewne najpierw może oznaczać to postawę rygorystycznie poznawczą oraz po części stosowanie procedur wymyślonych po raz któryś przez strukturalistów. W takim doktrynerstwie nietolerancja epistemiczna objawia się również jako uniesamodzielnienie czy podporządkowanie przedmiotu, także w wartościowaniu pozytywnym i negatywnym. Z tym zaś z kolci wiąże się coś w rodzaju depersonalizacji: charakterystyczne w tym względzie są wspomniane już początkowo partie szkicu o krytyce literackiej, gdzie w opisywanej i negowanej sferze nie pojawia się ani jedno nazwisko, nie przepuszcza ich „zbiornicza” charakterystyka.

Trzeba sobie zdać sprawę, że to odpersonalizowanie może mieć ważny skutek w zdarzeniach między rolami-osobami tekstu: wzmaga przecież siłę witalną „personalności” autora. Wzmocnienie tej siły to wzmocnienie siły perswazji (w retoryce prezentacja witalności jest jednym z mocniejszych chwytów argumentujących). Cudze mówienie słyhać w takich wypadkach jako ograbione z witalności. Jeśli już jest tak, że widać, iż Sławiński szerzej aprobeuje istnienie jakiegoś autorytetu, to staje się on jednocześnie w ł a ś c i w y m przedmiotem jego rozważań: tak jest właśnie z Mukażovskim i Budzykiem, którym poświęcił przecież osobne szkice. I w końcu nawet taka sytuacja nie

może uwalniać się od dwuznaczności: zostanie przedmiotem powodu-  
je przecież upodrzedniczenie...

Dwa jeszcze zjawiska zdają się z tym wiązać. Najpierw sprawa gatun-  
ków: na reklamowej stronie okładki *Tekstów i tekstów* napisano  
o Sławińskim: „Jego ulubionym gatunkiem wypowiedzi pozostaje  
hasło encyklopedyczne”. Biorę to na serio (tzn. niereklamowo)  
i stwierdzam, że doktryner może mieć najznakomitsze samopoczucie  
w takich wypowiedziach. Ale zaraz trzeba dodać z zaniepokojeniem:  
hasło encyklopedyczne (a i „zarys podręcznikowy”) jest gatunkiem  
najmocniej usadowionym nie tylko w naukowej wyobraźni pozytywi-  
stycznej! Więc nie tylko doktryner, ale i pewnie scjentyista? Oczywiście,  
nie cały Sławiński, bo pewnie nie ten od „zacickawień”, nie cały  
też pozytywizm i scjentyzm. Chodzi tu raczej o intonację mówienia  
pozytywistów: normatywną (autorytatywną!), niż o wszystko inne. To  
objawia się szczególnie zręcznie w hasła, zaspokajają głód porządku  
doktrynera, ale przede wszystkim potwierdza wszystkie opisane wyżej  
cechy postępowania z cudzym mówieniem i jednocześnie umożliwia  
ich ujawnienie się. Można by oczekiwać, że oprócz hasła powinna by  
się tu znaleźć i recenzja, gatunek także wygodny dla ukazania spraw-  
ności doktrynera. Ta forma wypowiedzi pojawia się jednak u Sławiń-  
skiego zupełnie rzadko, trudno wiedzieć dlaczego. Recenzenckie  
pole nie nadaje się do totalnego opanowania?

W ten sam wątek – jak się zdaje – wplata się co najmniej kilkukrot-  
ne przywoływanie Młodości w tekstach Sławińskiego (jak choćby  
owego doktoranta w *Z poradnika dla doktorantów*), sprawiedliwie  
naiwnej, pełnej pozytywnej niewiedzy o przymusie przyjmowania ins-  
tytucjonalnych autorytetów i z powodu tych cech niesłuchanie cenio-  
nej przez sceptycznego skądinąd autora.

Wszystko, co usiłowałem tu opisać, zdaje się dawać pole najpierw  
osobnej prawdzie, której samotność pozwala na ostrzejsze jej widze-  
nie. Byłby to więc i zabieg retoryczny, i porządna wiara w dostępność  
i ważność takiej właśnie prawdy. I może jeszcze coś: wypada bowiem  
przywołać Białoszewskiego – wszyscy wiedzą, że nie bez powodu –  
z jego „być sobie jednym” i jasną akceptacją tego przez Sławińskiego.  
Jeśli teraz przenieść tę akceptację w świat naszego autora, to być  
może i ona zrymowałaby się z tym, co opisałem. Niespodzianką mog-  
łaby być co najwyżej decyzja budowania tego „być sobie” na terenie  
literaturoznawstwa – chyba dość niezwykła.

Ale skoro wciągamy tu siłą Białoszewskiego, to czy inna siła każe zrezygnować wobec tego z domysłów co do scjentyzmu? A może ten scjentyzm (czy „scjentyzm” od teraz) jest na usługach tego niescjentycznego istnienia? Zapewne tylko solidny historyk idei czy literaturoznawca z końca lat 60. nie speszyłby się taką sytuacją: z zadowoleniem stwierdziłby n a p i ę c i e między „Białoszewskim” i „scjentyzmem”, nie usiłując rugować żadnego z nich. I może miałby rację.